

Maciej Żytowiecki Piaskun

I.

Szyld „Zimne pamiątki i piwo” często przyciągał spragnionych oryginalnej fotografii turystów. W leniwe letnie dni wielu ustawiało się przy napisie, robiąc głupie miny i pstrykając zdjęcia bez opamiętania, uwieczniając pomyłkę podchmielonego artysty.

Po zrobieniu fotografii część z nich odwiedzała również sklep, zazwyczaj srodze zawodząc się na dostępnym asortymencie – malowanych i ręcznie rzeźbionych figurkach, różnokolorowych piórkach, pačkanych pisankach albo biżuterii z drewna i kamyczków. Zdarzało się jednak, że któryś wybierał cokolwiek, traktując drobny zakup jako zapłatę za miłe wspomnienie. Jeśli sklepik odwiedzały pary – schodziła biżuteria. Jeśli rodziny, to figurki albo pisanki. Jedna smutna pani kupiła długie pawie pióro, wetknęła je w kapelusz i oddaliła się dostojnym krokiem w kierunku staromodnego auta, którym przyjechała. Niektórzy, a nie było ich wielu, zostawali dłużej. Kupowali piwo, rozmawiali.

Tamtego dnia był jedynym klientem. Miał krótkie, szpakowate włosy, które pociągnął solidną porcją żelu, żeby sterczały w górę, wydłużając jeszcze i tak nazbyt pociągłą twarz. Nosił tweedową marynarkę i sztruksowe spodnie, przez co skojarzył się Eli z nauczycielem. Nauczycielem języka, nudziarzem w średnim wieku, którego zostawiła żona – pewnikiem kobieta występna.

Uważnie przyglądał się wszystkim pamiątkom, jakby autentycznie go fascynowały, jakby czegoś wśród nich szukał. Jeśli spodziewał się odnaleźć dzieło sztuki jakiegoś nieznanego artysty, musiał spotkać go zawód. Każdą rzecz wykonała pani Jolanta, właścicielka sklepiku, a równocześnie gospodyni mieszkania na pierwszym piętrze. Dobra kobieta, która każdego dnia raczyła Eli przepyszny obiadem, jednakże niedowidząca, a więc tworząca kolejne suweniry z coraz mniej wyrazistymi detalami.

Klient pogłaskał figurkę przedstawiającą brodatego jegomościa w czapce, postukał palcem w jego małe czoło i uśmiechnął się. Nie do ludzika, ale do swoich wspomnień. Surowe rysy twarzy złagodniały, a Eli mogłaby przysiąc, że w pokoju jakby przybyło światła.

– Sympatyczny jegomość – zauważył klient. Sprzedawczyni pomyślała, że równie dobrze, jak o ludku, mógł mówić w tej chwili o sobie. – Ile musiałbym za niego zapłacić?

- Za dzentelmena w kapeluszu, z brodą i czerwonymi kozakami należą się dwie dyszki, jeśli można odliczone, bo nie mam jak wydać – powiedziała, wspierając się na ladzie.

– Tak dużo? – zdziwił się obcy. – W takim razie, poproszę coś innego.

Otworzył gąbłotę nim zdążyła zaprotestować. Złapał wielkie zielone pióro ze szkarłatnym okiem pośrodku i machnął nim jak miotłą, wyciągając na zewnątrz. Kurz unióś się jak dym, a Eli spłonęła rumieńcem, ponieważ dawno już obiecała pani Jolancie wyczyścić regały.

– Zakupię więc to pióro, podobne do pawiego, ale zupełnie inne – oznajmił, podchodząc tanecznym krokiem.

- Ta piękna rzecz jest jeszcze droższa, panie szanowny. To prawdziwy eksponat, jedne z ostatnich ponderabilii, jakie pozostały nam po pierwszym i ostatnim w okolicy strusiu.

– Przecież to nie jest strusia – oznajmił z pewnością znawcy, kładąc pióro na ladzie. – Widziałem strusie i mogę zagwarantować, że żaden z nich nie przywdziałby czegoś takiego na grzbiet.

- Niemniej, pięćdziesiąt się należy.

– Pięćdziesiąt? – parsknął. – Chcesz zedrzeć ze mnie ostatni grosz, Elizo?

- Nie przypominam sobie, żebym się panu szanownemu przedstawiała... – zaczęła, ale mężczyzna położył palec na jej ustach.

Zamilkła więc, a on przejechał dłonią po ustawionej na sztorc szpakowatej grzywie.

– Wyglądasz przecież jak Eliza. Nie jesteś Anią, chociaż masz jasne włosy jak wiele Ań. Nie jesteś Moniką, pomimo że masz wydatne usta jak każda z Monik, jakie poznałem. Jesteś surowa jak Marta, ale nią również nie jesteś...

- Dobrze, dobrze, panie szanowny – przerwała tonem nieznoszącym sprzeciwu. Wsparła się pod boki i spojrzała mu prosto w oczy. – Proszę mi tutaj nie czarować, tutaj jest sklep, a ja mam na ubraniu plakietkę z imieniem. Za pióro jest i będzie pięćdziesiąt. Szefowej kram, szefowej ceny. Nie ma odstępstw.

– Twarde prawo, ale prawo. – Rozłożył ręce w geście rezygnacji. – To może chociaż piwa dacie?

- Damy. Bardzo dobre, bo zimne.

– W takim razie poproszę.

- W porządeczku. – Wyciągnęła rękę. Nauczyciel poskapił nawet dwudziestki, więc wolała poczekać na pieniądze, zanim zacznie nalewać. – Piątaka.

– Nie ma upustu dla spragnionego podróżnego? – stęknął, ale zapłacił.

Wkrótce trzymał szklanekę spienionego napoju i rozkoszując się nim po drodze, szedł przez salę w kierunku stolików rozstawianych każdego lata w zacienionym ogródku.

- Widziałaś jego oczy? – Szorstki głos gospodyni wyrwał dziewczynę z zamyślenia.

Odwróciła się, spoglądając na schody. Starsza pani schodziła powoli na dół, kurczowo trzymając się poręczy i ciężko opierając na cienkiej, brązowej lasce.

– Niezwykłe i oryginalne, pani Jolanto. Prawda? – kontynuowała Eli. – Każde o innej barwie: prawe błękitne jak morze, a lewe brązowe jak kora drzewa. Jak kolorowe szklane kule, które zbierają chłopcy, zanim jeszcze zaczną interesować ich dziewczęta.

- To Piaskun. Piaskun ma takie oczy.

– Ależ i ludziom to się zdarza. I zwierzętom. Nie dalej jak trzy niedziele temu widziałam dużego szarego psa, jak obwąchiwał z wywieszonym jęzorem kosz na śmieci przed kościołem świętego Anzelma. Zagadałam się z rudą Elżbietą i tak weszliśmy wprost na niego, aż się wystraszyłam, proszę pani. Naprawdę! Zwierz spojrzał na nas groźnie, zanim uciekł, a ślepie miał jedno srebrne, a drugie niemalże czarne.

- Ty i twoje opowieści. – Starsza dama machnęła laską, docierając wreszcie na sam dół. – To Piaskun, mówię ci. Lepiej dla nas, żeby pojechał stąd jak najprędzej. I nie wracał. Nie potrzeba nam takich jak on.

– Szanowna właścicielko, to bardzo miły pan, choć może drobinę dziwny. I bez grosza przy duszy.

– Dosyć, już dosyć – sapnęła pani Jolanta. – Po prostu nie dawaj mu kolejnej szklanki.

– Ależ, proszę pani?

– Powiedziałam. Będę na zapleczu – dodała łagodnie.

Starsza pani była dobrym człowiekiem, może odrobinę szorstkim w obyciu, ale nie na tyle, żeby Eli miała kiedykolwiek źle o niej pomyśleć. O nie – o pani Jolancie myślała w samych superlatywach. Była jej wdzięczna za pracę i mieszkanie oraz za to, że nigdy nie wtrącała się w prywatne sprawy pracownicy.

Sprzedawczyni usiadła na zydelku i wyciągnęła lokalną gazetę. Pierwszą stroną zajmował artykuł poświęcony jutrzejszemu jarmarkowi. Miały zagrać lokalne zespoły, a burmistrz obiecywał zorganizować szereg konkursów z nagrodami. To będzie prawdziwe wydarzenie, myślała. Planowała założyć suknię w grochy i czarne pantofle, włosy zaś spiąć w dwa warkocze, a nie jak zazwyczaj, w koński ogon.

Sięgała po butelkę wody, kiedy rozległ się hałas. Uniósła głowę. Butelka upadła na podłogę, woda wyciekła na dywan.

– Pani Jolanto – szepnęła. – Pani Jolanto! – powtórzyła głośniej.

Wstała powoli, szukając dłońmi gazu, który trzymała pod ladą. Nie odrywała wzroku od wydarzeń rozgrywających się za szybą, w ogródku piwnym.

– O Boże – sapnęła starsza pani.

Jak zwykle, pojawiła się bezgłośnie. Stała przy schodach, blada jak duch. Ciężkie i grube okulary połyskiwały w promieniach wpadającego oknami słońca. W dłoniach trzymała książkę.

– Musimy pomóc biednemu człowiekowi! – Dziewczyna ruszyła przez sklep.

– Stój, Eli. Nie mieszaj się do tego.

Zamarła. Patrzyła to na panią Jolantę, to na klienta katowanego przez olbrzymiego mężczyznę. Nauczyciel, jak go nazwała w myślach, przyjmował kolejne ciosy, jakby pogodzony z faktem, że nie ma szans na równorzędną walkę z takim gigantem. Napastnik był gruby jak beczka piwa, ramiona miał jak konary, a głowę płaską i nieciekawą jak przydrożny kamień. Ściągając w dół marynarkę nauczyciela, unieruchomił mu ramiona równie skutecznie jak przy użyciu solidnych więzów.

– Mam gaz pieprzowy. Na zwierzęta i napastników – Eli zacytowała napis z nalepki. – Poradzę sobie.

– Zostań. Wezwiemy policję.

– Muszę coś zrobić! Ludzie powinni sobie pomagać.

– Stój! – Właścicielka sklepu przydreptała bliżej, stukając głośno laską. – To nie jest człowiek. To Piaskun, mówiłam ci. Lepiej, żeby go tutaj nie było. Niech zabierają go do wszystkich diabłów.

– Przepraszam, pani Jolanto, ale nie mogę. Jestem posłuszna, wie pani przecież. Nigdy nie sprzeciwiłam się pani słowu ani nie zrobiłam niczego, co pozwoliłoby pani zwątpić w moje oddanie. Nie potrafię jednak stać bezczynnie, kiedy widzę, że krzywdzą drugiego. Człowieka czy nie człowieka, wszystko jedno.

Pani Jolanta milczała. Może w myślach przeklinała literaturę przygodową, jaką jej protegowana zapychała sobie niepotrzebnie umysł, a może tylko liczyła w myślach do dziesięciu, żeby nie zrugać dziewczyny.

– Jak chcesz. Ja zadzwonię.

– Dobrze, pani Jolanto.

– Tylko... Uważaj.

– Bez obawy, ja bardzo szybko biegam. W zawodach szkolnych zajmowałam zawsze pierwsze miejsca.

Olbrzym dźwignął pobitego mężczyznę, przewiesił sobie przez ramię jak worek, po czym niespiesznie ruszył w stronę wyjścia. Głowa ofiary przy każdym kroku odbijała się bezwładnie o potężne i szerokie jak dwudrzwiowa szafa plecy napastnika.

Dziewczyna wybiegła na zewnątrz, wyminęła wielkoluda i zastąpiła mu drogę. Stała między nim a wyjściem, zaparta pod boki jak chłop doglądający obejścia i chociaż drżała na myśl o potężnych łapskach, to ani myślała ustąpić.

– Postaw go na ziemi, panie szanowny – powiedziała powoli i wyraźnie, jako że toporna twarz i bezmyślne spojrzenie zdradzały bezgraniczną tępotę olbrzyma.

– Albo połóż – dodała zaraz.

Napastnik podrapał się po rzadko porastających czaszkę włoskach i, choć wydawało się to niemożliwe, zrobił minę jeszcze bardziej kretyńską.

– Odłóż go po prostu.

Pokręcił głową, wymamrotał coś niezrozumiałego, a potem ruszył. Jak ciężka parowa lokomotywa, niepowstrzymany kolos, sapiący przy każdym ruchu.

Zerwała kciukiem zabezpieczenie i skierowała puszkę na jego gębę.

– Sam się o to prosiłeś – syknęła, uwalniając gaz pieprzowy.

Cuchnąca maź rozsmarowała się na szerokich i płaskich ustach olbrzyma. Pociągnął nosem, jakby nie rozumiejąc, co właściwie się dzieje. Kaprawe oczka zabarwiły się czerwienią pękających naczynek i osiłek zamrugał. Łzy jak krople rosy zaślśniły na grubych rzęsach.

– Co? – wydukał wreszcie zrozumiałe słowo.

Prysnęła gazem kolejny raz, tak na wszelki wypadek.

– Dobrze – oznajmił z uśmiechem, zlizując substancję z ust.

Jakieś ręce złapały Elizę od tyłu, skutecznie unieruchamiając. Zanim zdążyła w jakikolwiek sposób zareagować, niewidoczny przeciwnik skierował pojemnik na jej klatkę piersiową i nacisnął kilkakrotnie, zgniatając przy tym palce dziewczyny. Poczula nieznośne pieczenie. W gardle zaczęło drapać, a łzy popłynęły obficie niż podczas wiosennego pylenia traw, na które była uczulona. Upadła na kolana. Poczula, że jej palce same pchają się do oczu. Chciała trzeć, i trzeć, i trzeć, żeby tylko przestało swędzieć. Nie przyniosło to ulgi, jedynie pogorszyło sprawę.

– Idziemy, panie Edziu. – Usłyszała obcy głos. – A ty, dziewczę lepiej nie trzymaj, bo oczy sobie wytrzesz.

Zamarła, przypominając sobie opis na opakowaniu. Ułożyła się na trawie, twarzą do ziemi, modląc się, żeby nieznośne podrażnienie zniknęło.

Posterunkowy był stary – starszy od pani Jolanty, starszy chyba od tego domu. Na karku nosił tyle krzyżyków, że ich ciężar na stałe przygiął go do ziemi, tylko sporadycznie pozwalając na przyjęcie pozycji wyprostowanej. Twarz miał pomiętą jak garbowana skóra i co rusz wycierał ślinę poskładaną w kwadrat chusteczką.

– A więc panienska powiada, że było ich dwóch? – Zdjął czapkę i przetarł czoło zroszone obficie potem. – A ty widziałaś jednego?

Pani Jolanta знаła posterunkowego z dawnych czasów, jak wyjaśniła Elizie na stronie, kiedy ten zwykł był objeżdżać rejon swoim dymiącym, pokasłującym pojazdem. Był młodym policjantem, gdy ona była młodą dziewczyną, a teraz, chociaż wiele lat już minęło od dnia, kiedy osiągnął wiek emerytalny, nadal nie potrafił odłożyć odznaki do szuflady. A ponieważ nigdy nie dorobił się następcy, nikomu to nie przeszkadzało. Na co zresztą ktoś młodszy albo sprawniejszy, skoro najgorszym występkiem ostatnich lat było wybicie szyby wystawowej miejscowej księgarni przez sprutego piwskim Wona.

– Widziałam tego, który zabrał Piaskuna. Wielki i silny był, mógłby łapami podkowy prostować.

– Piaskuna? – Ruszył brwiami i niejakim trudem uniósł głowę. – Jesteś pewna, Jolanto?

– A co nie mam być pewna? – warknęła starsza pani. Poglądziła długą suknię, która jak nic miała jakieś niewidoczne dla Elizy zagniecenia, a po chwili dopowiedziała już spokojniej. – Wiesz dobrze, że wszędzie ich poznam.

Staruszek przytaknął.

– Jeden do drugiego podobny, pewnie ma i takie same przywary – prychnęła. – To był Piaskun. Nie mylę się. Miał różnokolorowe oczy i... Wiesz sam, że nie da się pomylić żadnego z nich z prawdziwym człowiekiem.

– Jeśli tylko poznałaś kogoś wystarczająco dobrze – dodał szeptem posterunkowy, ale nie na tyle cicho, żeby Eli nie dosłyszała.

– Zawsze myślałam, że nie istnieją naprawdę – wtrąciła dziewczyna.

Policjant powoli odwrócił się w jej stronę. Westchnął ciężko, a potem przemówił tonem zmęczonego belfra, który tęsknie wyczekiwał emerytury, a kiedy wreszcie nadeszła, przekładał odejście z uczelni na nieskończoność, mając dość, ale jednocześnie nie umiając przestać.

– Oj, są tutaj. Blisko nas, prawdziwych ludzi, a jednocześnie na tyle daleko, żeby tylko czasem mignąć gdzieś w tłumie i zaraz zniknąć. Czym są, nie mam pojęcia. Czy sennymi marami, które ktoś oblekł w ciało? A może duchami, które jedynie czasami mogą odwiedzić nasz świat? Szczerze mówiąc, nie wiem.

– Ale państwo już kiedyś poznali jednego z nich? – Eli nie ustępowała.

Staruszek spojrzął na panią Jolantę.

– Nie ma w tym żadnej ciekawej historii – powiedziała. – Znałam kiedyś Piaskuna, uważałam go za przyjaciela. To była jedna z tych dziwnych znajomości, jakie przydarzają się ledwie kilka razy w życiu. Kiedy spotkasz kogoś i wiesz, że łączy was coś wyjątkowego. Od razu rozmawiacie, jakbyście znali się od zawsze.

– Byli tylko przyjaciółmi – dopowiedział policjant, widząc minę Elizy. – Piaskuni to dziwny lud. Nigdy nie pozostają w jednym miejscu długo.

– A dlaczegoż to?

– Któż to wie? – Przejrzał notatnik z kartkami nanizanymi na metalowe kółeczka. Pokreślił coś ołówkiem.

– Powiedz mi, co robił przed uprowadzeniem.

Eli wstała z lady, o którą się opierała i opisała pokrótce wymianę zdań z Piaskunem.

– Był zainteresowany jakimiś pamiątkami?

Dziewczyna podeszła do gablot, usiłując przypomnieć sobie szczegóły. Przebiegła palcami po półkach, zatrzymując się na chwilę przy jednym z miejsc.

– Interesowało go piórko i jeszcze coś, ale nie pamiętam dokładnie. – Przesunęła włosy za uszy. – Jestem zmęczona. Pani Jolanto, czy mogę się położyć?

– Oczywiście, dziecko. Miałas dość wrażeń jak na jeden dzień. Właściwie dosyć jak na całe życie. Idź, połóż się. Jutro zamkniemy sklep, żebyś mogła dojść do siebie.

Pani Jolanta, dobra dusza. Eli było bardzo przykro, że zamierzała ją oszukać.

Wieczorem, kiedy światła już zgasły, a po policjancie nie pozostał nawet zapach potu i tanich papierosów, opuściła sypialnię. Zeszła cichutko po schodach, zamierając przy każdym skrzygnięciu. Pani Jolanta spała twardym snem sprawiedliwego i nie zanosilo się, że ją nakryje, jednak serce i tak waliło dziewczynie ze strachu.

Na paluszkach dotarła do gablot, wśród których buszował kilka godzin wcześniej Piaskun. Odszukała miejsce, gdzie wcześniej stała drewniana figurka i zgarnęła pozostawioną tam torebkę.

Ukradł rzeźbę, a torebkę zostawił w zamian. Podeszła do kasy i wrzuciła dwudziestkę, żeby rachunek był w zgodzie z sumieniem, które zanim zeszła, pozostawiła ululane w sypialni, a które właśnie zaczynało się budzić.

Prawie cały pokój zajmowało wielkie, pękate od poduch łóżko. Na jego dębowej ramie dawno temu artysta wyrzeźbił las, który teraz stał się równie niewyraźny, co uciekający rankiem sen. Lampka na nocnym stoliku dawno przestała świecić, żółta żarówka była chłodna jak jesienne powietrze. Stojąca przy oknie szafa zdawała się pochylać nad śpiącą, a ułożone na półkach szmaciane lalki czuwały nad jej bezpieczeństwem.

Przy drzwiach, na ciężkim stalowym krześle siedział Piaskun. Przywiązany konopnymi sznurami, z posiniaczoną twarzą, do tego całkiem nagi. Głowę miał pochyloną, a krew ciekła mu z nosa na włosy łonowe, kryjące maleńkiego penisa.

Obudziła się z krzykiem. Nocna mara zniknęła, a Eli znów była w pokoju sama. Zapaliła nocną lampkę, światłem przeganiając przerażenie.

– Jest tu kto? – zapytała, czując się głupio.

Dorośla dziewczyna, a boi się snów.

Wyciągnęła paczuszkę pozostawioną w zamian za bibelot. Odwinęła papier, znajdując wewnątrz dużą pigułkę rdzawego koloru. Koloru zaschniętej krwi, pomyślała. Schowała ją do szuflady, a papier już zamierzała wyrzucić, kiedy dostrzegła wypisane niezdarnym pismem słowa: „W zamian: bilet.”

Podłoga skrzywnęła, jakby ktoś ciężki stanął tuż obok łóżka. Odwróciła się, ale oczywiście nie było tam nikogo.

– To nie jest śmieszne, tak się zachowywać – powiedziała głośno, pewnym siebie tonem. – Jeżeli jesteś duchem, to pokaż się, żebyś mogła mnie obejrzeć. A nie kryj się, bo to przecie nie przystoi.

Dla podkreślenia stanowczości swoich słów trzepnęła jeszcze narzutą, popatrzyła groźnie, a potem położyła się spać.

Drobinki kurzu unosiły się nad jej głową jak maleńkie dmuchawce.

II.

Starannie wybrała dwa duże, soczyste pomidory. Sprzedawczynie podała je bez słowa, a Eliza zważyła w dłoniach, ścisnęła palcami, po czym pokiwała głową z zadowoleniem. Wyciągnęła zza ucha ołówek i skreśliła jedną z ostatnich pozycji na liście, podczas gdy straganiarka podliczała rachunek.

– Warzywa są, owoce są, mięso i chemia... – szeptała dziewczyna, próbując odczytać, co też zapisała na wymiętej kartce.

Omiotła wzrokiem wnętrze małego domku, zbitego byle jak z byle jakich desek. Mieniło się wszelkimi odcieniami wiosny i lata. Na hakach wisały długie warkocze czosnku, skrzynie wypełniały pasiaste arbuzy, fasola, cebula, ziemniaki, kolby kukurydzy i zielone ogórki długie jak męskie przedramię. Dziesiątki rodzajów warzyw zgromadzonych wzdłuż ścian.

– Nie ma wstydu. – Dobiegł ją obcy głos.

Dwie staruszki o białych jak wełna włosach i nosach ostrych jak klinga rzeźnickiego noża, lustrowały ją z ukosa, niby to przeglądając towar. Ich kolorowe suknie z wielu warstw materiału okwitły plamami potu, ostrzegając z daleka, że kobiety nie pachną nęcąco.

– Jeżeli panie mają mi coś do powiedzenia, niech powiedzą to w twarz. – Eli podeszła do kobiet. Jeżeli nauczyła się czegoś w życiu, to tego, żeby pretensje wyjaśniać od razu. Zanim narosną do niebotycznych rozmiarów. – No, słucham?

Stare maleństwa popatrzyły po sobie, ale ani myślały zadzierać głów, by napotkać groźne spojrzenie Elizy. Zabrały się za oglądanie warzyw, ignorując obecność dziewczyny całkowicie.

– No?! – Dziewczyna nie ustępowała.

– Chodź, Eli – powiedziała łagodnie sprzedawczynie. – Pani Jolanta z pewnością czeka na zakupy. Nie warto.

– Nie pozwolę, żeby ktokolwiek obrażał mnie w moim własnym domu, w moim mieście – wyjaśniła dziewczyna, oburzona na wstrętne babcie.

– Co panie szanowne mają do powiedzenia? – zapytała kolejny raz, a kiedy nie doczekała odpowiedzi, położyła dłoń na ramieniu jednej z nich.

Cofnęła ją zaraz – stara pod palcami zdrowej i silnej dziewczuchy zadrżała i zwiędła, jakby miała rozpaść się w proch, niczym mumia, którą rozwinąć z bandażu.

– Spójrz tylko na siebie! – Żółta plwocina wylądowała na podłodze sklepu, obok butów Eli. – Jak ty wyglądasz? Spacerujesz w gaciach, że prawie tylek widać. Pokazujesz goły brzuch jak cygańska dziwka. Brakuje tylko, żebyś obwiesiła się złotem i biegała na bosaka z rozdziawioną gębą, prosząc o kutasa.

– Słucham? – Aż ją zatkało. Ale tylko na chwilę.

Staruchę zapiekł policzek od siarczystego uderzenia, które słychać było chyba na ulicy.

– Dziwka – wycharczała, trzymając się za purpurowiejącą twarz. Na szczęście przyjaciółka złapała ją za łokieć i wyprowadziła na zewnątrz.

– Już nigdy nic tutaj nie kupimy – rzuciły na odchodnym.

Nikt jakoś nie żałował.

Eli wróciła do lady, ustawiła pionowo siatki i poukładała poprzewracane zakupy. Sprzedawczyni obserwowała ją w milczeniu, odezwała się dopiero, kiedy klientka położyła na jej dłoni stosik odliczonych monet.

– Dobrze zrobiłaś – zapewniła.

– Aż cała się trzęsę. Czy ja zgłaszałam pretensje do ich dziwnego stroju? Kim one są, żeby zwracać mi uwagę? Ja nie tak zostałam wychowana i sądzę, że gdyby ze sto lat temu, kiedy tamte panie były w moim wieku, ktoś solidnie przyłożył pasa do ich tyłków, to nie czyniłyby dzisiaj podobnych uwag.

Straganiarka parsknęła śmiechem. Ostrożnie włożyła pomidory do Inianej siatki, bacząc, żeby Eliza nie zgmiotła ich podczas drogi.

– Widziałam je drugi raz. Były też przedwczoraj. Nakupowały trochę zieleniny, całe mnóstwo czosnku i cebuli. I polazły do wszystkich diabłów.

– Dużo mamy ostatnio gości. Myśmy wczoraj też mieli jednego dziwoląga, jak pewnie wiesz.

– Nie wiem, a co?

– No jak? Przecież była u nas wczoraj policja. Porwali nam gościa prosto z ogródka, kiedy spokojnie popijał piwo.

– No, gadasz? – Zdziwiona mina sprzedawczyni nie była udawana.

– Myślałam, że całe miasteczko już wie...

– Od kogo? Od starego? On poważnie traktuje swoją pracę. U niego tajemnica służbowa pewna jak u księdza. Opowiadaj lepiej, co się stało?

Eliza pomyślała, że pięć minut nie robi pani Jolancie różnicy, tym bardziej że sklepik był zamknięty i tak naprawdę miała dziś wolne. Zaczepnęła chciwie powietrza, żeby nie zabrakło go w połowie zdania i zaczęła swoją opowieść.

– Piaskun? – zapytała straganiarka. – Podobno kiedyś, wiele lat temu, bywali u nas częstymi gośćmi. Zanim porozjeżdżali się po świecie, żeby zsyłać na ludzi sny. Jesteś pewna, że to jeden z nich?

– Ja mam być pewna? Dla mnie podobny do każdego innego. Może z tą różnicą, że miał dwukolorowe oczy, jak wspominałam. Pani Jolanta uparła się, że to Piaskun, więc nie protestowałam.

– No tak. Pani Jolanta. Wiesz... Ludzie gadają, że niegdyś kochała jednego z nich. Że się z nimi zadawała.

– Opowiadasz. Naprawdę? – zdziwiła się Eliza.

– Co opowiadam?

– No, że mieli romans opowiadasz. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić mojej gospodyni, kobiety surowej i opanowanej, zakochanej w... Właściwie to nie wiem, w kim albo w czym?

– Jak to: w kim? – Tym razem, dla odmiany, zdziwiła się sprzedawczyni. – Piaskun to Piaskun. I tyle.

Wzruszyła ramionami, a potem zapytała, jak Eli planuje się ubrać na wieczorną zabawę.

Tomasz Akwin to był chłopak na schwał. Ciasny w pasie, że można by go objąć dłońmi, za to w barach szeroki, oj, szeroki. Mógłby usadzić na swoich ramionach po szczupłej dziewczynie, a każda miałyby dosyć miejsca, żeby umościć się wygodnie. W świetle lampionów uwieszonych przy budkach, szare oczy młodzieńca nabierały blasku zimnej stali.

– Cudny – szepnęła z nabożną czcią Alina, która specjalnie na tę okazję wplotła w czarne włosy czerwone korale. Najbliższa przyjaciółka Elizy, licząc, że Tomasz zwróci na nią uwagę, spoglądała tęsknie, trzepocząc rzęsami. Obiekt jej westchnień jednak bardziej pochłonięty był kufelkiem piwa i towarzystwem kolegów, aniżeli wdziękami wystrojonych panien.

Wokół trzaskały sztuczne ognie. Co chwila ktoś pozdrawiał dziewczyny, bowiem w tak malutkim mieście prawie wszyscy znają się, choćby z widzenia.

Na rozłożonej nieopodal scenie grał pan Witek. Wyśpiewywał słowa skocznej piosenki, akompaniując sobie na mandolinie i wprowadzając w szoł-biznes nastoletniego syna, cymbalistę, który stał daleko za plecami ojca i wyraźnie się wstydził. Miał jednak nabierać doświadczenia, więc co jakiś czas uderzał w swój instrument. Tak delikatnie, jakby bał się, że ten zaraz się rozleci.

– Eli, o czym myślisz? – zagadnęła Alina.

– O pani Jolancie, że została tak sama w domu. Biedaczka.

– Ona nie lubi ludzkich zbiorowisk. Tak jest lepiej.

– Wiem, ale jakoś mi smutno.

Alina wstała, poprawiła niewidoczne zmarszczki na sukni i pociągnęła Elizę za sobą. Prowadziła wprost do stoiska z lokalnym winem.

– Napijmy się przynajmniej. Mam ochotę tańczyć, a nigdy nie tańczę na trzeźwo.

Zaśmiały się.

– A co z...? – Eli zerknęła w stronę Tomasza, nadal zaaferowanego rozmową z przyjaciółmi, a nade wszystko wypijanym ekspresowo piwem.

– Daj spokój. Sam przyjdzie, jeśli nie jest lewy.

Tańczyła tak długo, aż pot przykleił sukienkę w grochy do tułowia, a uda zaczęły pulsować bólem, a buty piły w stopy tak mocno, że musiała je zdjąć. Fryzura całkiem się rozsypała i kiedy przeglądała się w lustrze toalety pobliskiego baru, nie mogła uwierzyć jak teraz wygląda.

– To wina jest wina. – Prychnęła śliną do umywalki, chichocząc cicho.

Ściągnęła zegarek i wrzuciła go do torby, po czym wsunęła palec głęboko do gardła, modląc się o wymioty. Nic z tych rzeczy. Chociaż nie umiałaby już na nic spojrzeć prosto i chociaż świat giął się jak w salonie krzywych zwierciadeł objazdowego cyrku, to za wcześnie było na wybawienie. Znała swój organizm. Musiała tam wrócić, wlać w siebie kolejny kieliszek lub dwa i wymęczyć żołądek na tyle skutecznie, żeby sam, bez pomocy, wypluł alkohol.

Gdzie jest Alina? Spróbowała zebrać myśli i ustalić, gdzie podziała się przyjaciółka. Na którym przystanku wieczornych wojaży się rozstały? O której godzinie?

Nie potrafiła sobie przypomnieć.

Odkręciła wodę. Zmoczyła jednorazową chusteczkę i wytarła nią usta, a potem, przyglądając się krytycznie własnemu odbiciu, zmyła również makijaż. Szło opornie i bardzo powoli, jednak tak pochłonęło ją to zadanie, że nie myślała już o niczym innym. Nie zauważyła nawet, że ktoś jeszcze wszedł do toalety.

– Patrzyłem na ciebie.

Poderwała się znad umywalki. Torebka upadła na kafelki, rozsypując zawartość. Tusz do rzęs poturlał się po podłodze w stronę pijanego w sztok Tomasza Akwina. Czarna maź rozlała się po białym adidasie młodzieńca.

– Patrzyłem na ciebie – powtórzył.

Błądził gdzieś nieobecny wzrokiem. Bałaby się bardziej, gdyby dostrzegła w jego oczach pożądanie zamiast obojętności. Pomyślała, że Tomasz to tylko aktor w roli, w której sam się obsadził, a której wcale nie pragnął. Wyglądało jakby postępował wbrew sobie.

– Chcę cię.

– O rany! – westchnęła. – Nie potrafisz powiedzieć czegoś bardziej złożonego?

Wziął ją w ramiona. Zauważyła, że rude kędziorki, wcześniej puszyste i zawadiacko ułożone, teraz były pozlepiane i niekoniecznie czyste. Gdyby się postarać, pewnie znalazłaby tam jakieś fragmenty sałatek, hojnie nakładanych na papierowe tacki przy jednym ze stoisk.

– Zróbmy to.

– Ale co mamy zrobić? – Szarpnęła się.

– No wiesz.

Usadził dziewczynę na krawędzi umywalki, jakby ważyła tyle, co piórko. Złapał za suwak spodni i niezadarnym szarpnięciem spróbował go rozpiąć. Eli westchnęła ciężko – była nazbyt zniecierpliwiona nieporadnością chłopaka, ażeby być przerażoną. Tak naprawdę wiedziała, że nie ma się czego obawiać z jego strony. Jakimś cudem wyczuła to wieczorem, kiedy Alina tak wyczekiwała spojrzenia Tomasza.

– Wiesz przecież, że do niczego nie dojdzie – powiedziała.

Nareszcie przestał. Delikatnie odsunęła go od siebie i wciąż siedząc na umywalce, zaczęła spokojnie wyjaśniać.

– Przecież tak naprawdę wcale tego nie pragniesz, mój drogi.

– Co ty gadasz? – Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

– Mój piękny mężczyzno, to oczywiste, że ponad towarzystwo kobiet przedkładasz swoich kolegów. Nie przejmuj się, nie ma w tym nic złego.

– Że jestem sodomitą? To próbujesz mi wmówić, dziwko?

– Nie zapędzałam się tak daleko. Szczerze mówiąc, wiem tylko tyle, że nie jesteś mną zainteresowany. Widzę to, więc niepotrzebne się męczysz. Po co masz czuć zażenowanie, kiedy kuśka nie podola zadaniu. A i nie byłoby to pewnie pierwszy raz.

– Ale...

– Nie przerywaj. Nazwałeś mnie dziwką, chociaż wcale mnie nie znasz. Nie na tyle dobrze, żeby móc tak mówić, w każdym razie. Kilka razy mijaliśmy się na ulicy, a do dzisiaj nie byłeś nawet pewien, jak mam na imię. Jesteśmy dla siebie obcy ludźmi i tak pozostanie.

– Ale ja chcę – zaprotestował nieśmiało. Jego twarz nabrała tak smutnego wyrazu, jakby miał zaraz się rozpląkać. Położyła czule dłoń na jego głowie, starając się zignorować zwrócone resztki jedzenia.

– Nie chcesz – powiedziała spokojnym tonem. – Wiesz przecież.

– Ale co powiedzą koledzy? – jęknął.

– Nic nie muszą wiedzieć.

Przytaknął. Pochylił głowę, pozwalając, żeby go głaskała. Cichutko pochlipywał.

– Nie! – Nagle przycisnęła dziewczynę do umywalki. Kran boleśnie wbił się w plecy, poczuła jak woda pociekła jej po tyłku.

Palce mężczyzny trzymały jak kleszcze. Błada skóra na ramionach wykwitła czerwienią i Eli pisnęła z bólu. Próbowła się uwolnić, ale to było jak walka ze ścianą.

Tomasz przygniótł ją. Sięgnął na dół i usłyszała dźwięk rozpinanego rozporka, a potem cichy szelest opadających spodni.

Zagryzła usta, oczekując na ból, kiedy wydarzył się cud. Nic wielkiego i efektownego. Grzesznika nie spalił niebiański płomień, ani nie pochłonęły ognie piekielne. Mały cud był jednak wystarczająco

skuteczny.

Kiedy Tomasz przycisnął dziewczynę, próbując wepchnąć sflaczałego penisa między jej uda, umywalka nie wytrzymała. Oderwała się równo po linii, w miejscu, gdzie przyłączono ją do ściany i spadła na adidas Tomasa. Chrupot łamanych kości rozległ się w tej samej chwili, co przeraźliwy wrzask chłopaka.

Eli nie mogła zrozumieć, co się wydarzyło. Jej świat nagle zawirował, straciła grunt pod nogami. A właściwie pod pupą.

Dłuższą chwilę zajęło jej wydostanie się spod kwilącego z bólu Tomasza. Na czworakach dotarła do drzwi, gdzie trzymając się klamki, zdołała wreszcie powstać na nogi. Była cała, ale wypity alkohol i napaść zrobiły swoje. Czuła się nierealnie. Tak jakby obserwowała aktorkę grającą rolę Eli w kiepskim przedstawieniu.

– Pomóż mi – łkał młodzieniec.

Leżał zwinięty niczym niemowlę, z dłońmi na rozplaszczonych, czerwonych teraz adidasach, które wyglądały tak groteskowo, że Eliza miała ochotę się roześmiać.

– Pomóż – zachlipał.

Zamiast tego odwróciła się na pięcie i wyszła na zewnątrz.

Jarmark wymierał. Większość stoisk była pusta, lampiony dogasały, gdzieś przy stolikach zalegały jeszcze grupki niedobitków sączących swoje trunki. Pod sceną pan Witek pakował manatki, a po Alinie nie było śladu. Pewnie już smacznie spała.

Eliza westchnęła ciężko i ruszyła powoli drogą. Na wzgórzu. Do domu, gdzie wciąż płonęło w oknie żółte światło.

III.

Wielkie i pękate łóżko połknęło ją jak wełniana chmura, prawie bez żadnego oporu. Myślała, że będzie spadać w tym puchu w nieskończoność, nigdy nie dotykając dna. W miękkim łożu czuła się, jakby odpoczywała w niebie.

Las, umieszczony przez artystę na dębowej ramie szumiał kojąco. Korony drzew, stworzone z kilku nierównych rytów, teraz płynęły – gałęzie jak fale rwącego strumienia. Chyba zapomniała wyłączyć żółtą lampkę nocną, bo nad bosem wciąż płonęło słońce, przenikając przez na wpół przymknięte powieki. Pomyślała, że podobnie jest w maju, na leśnej polanie przy strumyku.

Przy drzwiach, na ciężkim stalowym krześle siedział Piaskun. Przywiązany konopnymi sznurami, z posiniaczoną twarzą, do tego całkiem nagi. Dwie starowinki z warzywniaka pochylały się nad nim. Trzymały miskę wypełnioną po brzegi jakąś breją. Zapach czosnku i cebuli był tak intensywny, że prawie nie można było oddychać.

Z ciemności otaczającej te trzy postacie wynurzył się olbrzym, porywacz Piaskuna. Był jeszcze większy, jeszcze bardziej nieludzki.

Chwył głowę związanego, wielkimi łapskami rozwarł jego usta. Starucha nałożyła trochę brei na drewnianą chochlę i brutalnie wepchnęła do gardła mężczyzny. Potem jeszcze jedną, kolejną i jeszcze, aż nic nie pozostało. Druga przyglądała się tylko, powtarzała coś melodyjnym głosem.

Olbrzym wreszcie puścił Piaskuna. Cała trójka odsunęła się i Eli widziała niedawnego klienta teraz

wyraźnie. Włosy już nie sterczały na sztorc, jak zapamiętała. Rozczochrane, sprawiały smutne wrażenie, odkrywając łysinę na czubku głowy, którą wcześniej tak udanie Piaskun maskował.

Nagle Piaskun krzyknął. Na jego czole nabrzmiały żyły – grube i niebieskie, pulsowały jakby chciały rozerwać skórę. Skórę, która ze śmiertelnie białej zmieniała kolor na purpurowy. Oczy odmieńca prawie wyskoczyły z orbit, a źrenice stały się małe jak ziarenka grochu.

Charknął. Czerwona, spieniona ślina upadła na ziemię. Stare zachichotały.

Miotał się w pętach, niczym dzikie spętane zwierzę chcące rozerwać zniechęconego tresera. Otworzył szeroko usta i zawył jak wilk podczas pełni księżyca.

Eli zadrżała, szarpnęła się na łóżku, odrzuciła na bok narzutę.

Piaskun zaczął wymiotować. Szara breja, którą nakarmiły go staruchy, zmieniła konsystencję i barwę. Pluł i rzygał na zmianę, zdawało się, że bez końca. Rzucił się w więzach, jakby opętał go zły duch. Krzesło poruszało się wraz z nim, rysując podłogę. Spętane stopy tańczyły tango.

Wreszcie skończył. Głowa opadła mu na pierś i odetchnął głęboko. A potem jeszcze raz i jeszcze, aż oddech stał się wolny i miarowy, prawie niezauważalny.

Pojawił się kolejny mężczyzna, w błękitnej marynarce.

– Bardzo dobrze. Bardzo dobrze – powiedział, zacierając ręce gestem przekupnia wężącego interes życia.

Przykucnął nad wymiocinami. Ułożył obok nich Inianą chusteczkę. Rozpiął marynarkę, odsunął jej połę do tyłu, odsłaniając szeroki pas ze skóry aligatora albo krokodyla, na którym wisiała niewielka pochwa. Mężczyzna wyciągnął z niej motylka. Zimna, metalowa rękojeść rozmyła się jak czar, żeby powrócić z wyciągniętym ostrzem.

Eli instynktownie zrozumiała, że to ostrze mogłoby przeciąć nawet sen... Na szczęście, Pan Marynarka – nie wiedząc czemu ta nazwa wydała się Elizie właściwa – tym razem wolał zanurzyć je w rzygowinach. Grzebał dłuższą chwilę, odkładając na jedną stronę resztki jedzenia, po drugiej zostawiając coś, czego z początku nie rozpoznawała. Małe, ciemne, okrągłe przedmioty.

Pigułki. Identyczne, jak moja, zdążyła pomyśleć, a wtedy sen odpłynął.

Piaskun i czwórka jego porywaczy zniknęli jak płomień świeczek w przeciągu.

– Obudź się, dziecko – powtarzała pani Jolanta, szarpiąc Elizę delikatnie, aczkolwiek stanowczo.

Zrozumienie, gdzie się znajduje, zajęło dziewczynie chwilę. Organizm karał ją za spożyty kilka godzin wcześniej alkohol i ledwie miała siłę, żeby wesprzeć się na łokciach i spojrzeć na starszą panią, która pofatygowała się do sypialni Eli w środku nocy.

– Obudziłam panią? – zapytała, nie rozumiejąc, dlaczego staruszka przyszła. – Zaspałam? Już czas do pracy?

– Nie, spokojnie. – Jolanta pogłaskała Elizę po głowie. – Jest niedziela, dzisiaj nie pracujesz.

– Więc mogę iść spać? – Głos był cichszy od szeptu. Tak cichy, że niemal sama go nie dosłyszała. Pani Jolanta miała jednak słuch kota.

– Nie. – Uśmiechnęła się ciepło. – Nie teraz.

Poszukała czegoś w fałdach sukni. Grube i pokrzywione niczym gałęzie starego drzewa palce niezręcznie wyciągnęły niewielką kopertę. Wysypała na koldrę zawartość. Ruda pigułka Piaskuna padła jak oskarżenie. Eli milczała.

– To twoje? – zagaiła wreszcie pani Jolanta. Szturchnęła tabletkę paznokciem.

Eli przytaknęła. Bała się odezwać.

– Nie martw się, nie jestem zła. On ci to dał, prawda?

– Tak. Ale ta pigułka – przełknęła ślinę – to właściwie pani się należy. Wymienił ją na drewnianą rzeźbę bez mojej zgody. Kiedy spojrzałam, nie było już figurki, a zamiast niej leżało właśnie to. Zauważyłam dopiero, jak już go porwali.

– Nie. – Staruszka pokręciła głową. Na jej usta zabłądził uśmiech, patrzyła gdzieś w dal, w inne czasy. – Nie. Ona należała do niego.

– Do Piaskuna? – Zdziwiła się Eliza. Zupełnie rozbudzona, usiadła na łóżku, podciągnęła kolana pod brodę i objęła je rękami. – Zabrał własną figurkę?

– Nie, głuptasie. Nie do tego Piaskuna, ale do tego mojego. Tego, którego poznałam, będąc w twoim wieku, może ciut starsza.

– Myślałam, że pani ją wyrzeźbiła.

– Tak, ja ją wyrzeźbiłam. To kopia. Kiedy byliśmy razem, kiedy mieszkał w tym domu, wyrzeźbił bardzo podobną. Ja tylko ją kopiuję – powiedziała. – Tę prawdziwą trzymam schowaną przy łóżku, żeby chroniła przed koszmarami. To pożegnalny prezent.

– Pani go kochała.

– Czy można kochać Piaskuna? – zaśmiała się gospodyni. – Czy można pokochać sen? Nie. Sen może sprawić, że będziesz szczęśliwa albo że będziesz się bała. We śnie możesz przeżyć wspaniałe przygody, dowiedzieć się ciekawych rzeczy, nawet dostrzec coś, na co w prawdziwym świecie nie zwróciłabyś uwagi. Ale nie możesz go pokochać. Bo jeśli kochasz sen, nigdy nie zechcesz się obudzić.

– Umrę?

– Kiedy spotkałam go po raz pierwszy, zostawił mi taką samą. – Kolejny raz trąciła tabletkę. – To zaproszenie. Jeżeli ją połkniesz, będziesz mogła za nim podążyć.

– Śniłam o nim. Trzymają go w ciemnym miejscu. Może w piwnicy. Karmią jakimś świństwem, śmierdzącym tak potężnie, że jeszcze po przebudzeniu czuję ten zapach. A on wymiotuje pigułki podobne do mojej.

– Cierpi. – Stwierdziła Jolanta, mnąc w pięściach dopiero co wygładzony materiał sukni.

– Dlaczego oni to robią? Kim są ci ludzie?

– Nie wiem, kim są. To handlarze, koniec i kropka. Przez nich nie widuje się już Piaskunów. Wolą unikać nas, ludzi. Kiedy handlarze pojną Piaskuna, karmią go mieszanką ziół, na które ci są uczuleni. To ich w końcu zabija, ale wcześniej rodzą więcej kamyków.

– Kamyków?

– Tak nazywają się te tabletki. Ktoś je tak nazwał dla żartu, skojarzył z naszymi kamieniami żółciowymi,

choć to przecież coś całkiem odmiennego. – Choć starsza pani zaśmiała się nerwowo, jej twarz pozostała śmiertelnie poważna. – Wiesz, Eli, dla ludzi, którym Piaskuni ich nie przeznaczyli, kamyki są najczystsza ekstazą. Podobno sprowadzają upojenie, moc kształtowania życia, jak tylko zechcą.

– A ta?

– Ta jest dla ciebie. Jeśli ją weźmiesz, będziesz mogła wstąpić na chwilę do świata snów, do jego świata.

Eliza wzięła w dłoń tabletkę, zważyła ją, powąchała – nie wyczuła wagi ani zapachu. Zbliżyła do ust, ale się zawahała.

– Ja chyba nie chcę. Niepotrzebne mi to. Sama pani wówczas mówiła, żebym go zostawiła.

– Ale nie zrobiłaś tego – powiedziała pani Jolanta, wspierając się na lasce. Otworzyła usta jakby zamierzała coś dodać, ale stęknęła tylko, powstała mozolnie i powolutku ruszyła ku drzwiom.

Z każdym dniem chodziła z coraz większym trudem.

– Powinnaś pomóc Piaskunowi, inaczej będzie odwiedzał cię każdej nocy, aż go zamęczą... I wtedy, nawet wtedy, może pozostać w twoich snach – wyszeptwała, kładąc dłoń na klamce od drzwi.

Eliza została sama. Ona i tabletkę nazywaną kamykiem.

Była zmęczona, ale teraz, kiedy otrzeźwiała, bała się zasnąć.

Wstała i podeszła do krzesła, na oparciu którego wisiała jej sukienka. Pognieciona i poplamiona, nie pachniała już świeżością jak kilka godzin temu. Zniosła ją do szafy, nasunęła na wieszak i schowała. Skręciła włosy w kok i wyciągnęła książkę z szafki nocnej. Próbowala czytać, ale litery jakoś nie lepiły się w słowa, dochodziła do połowy strony, nie pamiętając, co przeczytała. Ze złością odrzuciła lekturę.

Tabletka leżała na stoliku nocnym, na białej karteluszcze, pod lampą sączącą światło w kolorze słońca. Eli parsknęła, kiedy złapała się na tym, że wciąż powraca do niej wzrokiem. Obgryzła ostry kawałek paznokcia, którym zahaczyła nieprzyjemnie o ubranie. Nie wiem, czy tego chcę, myślała.

Zdała sobie sprawę, że zapomniała zapytać pani Jolanty, czy połknięcie kamyka nie jest aby ryzykowne. Uspokoila się jednak, bowiem starsza pani była ostatnią osobą, o której można by rzec, iż lubi ryzyko. Właściwie ona i Eli to bratnie dusze. Młodsza kopia starszej.

Poszła do łazienki. Napełniła szklanke wodą. Wydało jej się, że gdzieś w lustrze, za swoim odbiciem, dostrzega umęczoną twarz Piaskuna. Jakby stanął za nią, przypominając o tym, że czeka.

Nie da mi spokoju, pomyślała ze złością.

Z przekory niemal się rozmyśliła... Ale nie, nie będzie zmieniać raz podjętej decyzji.

Poprawiła poduszkę, wsunęła się pod ciepłą kołdrę, wzięła kamyk do ust i popiła.

Z początku nie zauważyła żadnej różnicy. Później troszkę pociemniało, jakby mrok postanowił stłamsić żółtą lampkę i światło wycofało się pod klosz.

Eli poruszyła się. Nie, nie poruszyła. Tylko jej się wydawało. W rogu pokoju, kolejny raz, wyrosło krzesło z przywiązanym doń więźniem. Wyglądał jeszcze gorzej niż ostatnio. Trząśnięcie i mrugał bezustannie.

– Cześć – powiedziała.

Nie, nie powiedziała. Tylko spróbowała powiedzieć, chociaż w pierwszej chwili prawie usłyszała słowo, poczuła je na ustach. Tak naprawdę nie mogła nic powiedzieć.

On jednak usłyszał. Podniósł głowę. Wydało się, że ktoś wtoczył w niego nowe siły, bo usiadł prosto, a napięte powrozy aż zajęczały. Uśmiech rozjaśnił jego zmęczoną twarz.

– Cześć. A więc przyszedłeś mnie uwolnić?

– Chyba tak. Nie dawał mi pan spokojnie spać, więc co miałam zrobić? – Wydało jej się, że wzruszyła ramionami i tym razem było to na tyle przekonujące wrażenie, że przyjęła je za prawdę. Słowa również brzmiały jak trzeba.

– Przepraszam. To niechący.

– Niechący straszysz dziewczynę nocą, kiedy smacznie śpi? No, tak głupiej wymówki nie słyszałam od czasów szkolnych, kiedy Waldek Wos wpadł twarzą wprost w mój biust. Powiedział wtedy, że to niechący. Że się poślizgnął.

Piaskun westchnął zniecierpliwiony.

– Czy mogłabyś?

– Co mogłabym?

– Uwolnić mnie.

– Chętnie bym to zrobiła, ale skoro to jest sen, naprawdę nie wiem, jakie ci to przyniesie korzyści. Zresztą, nieważne. – Znów wzruszyła ramionami. – To ty jesteś przecież specjalistą od snów, prawda?

Wstała z łóżka i ruszyła do krzesła. Otoczenie zmieniał się z każdym krokiem, a kiedy dotknęła poręczy siedziska, znalazła się w miejscu całkowicie odmiennym od dobrze znanej, przytulnej sypialni. Tutaj ściany były ceglane, wilgotne od ściekającej gdzieś z góry wody. Z panującą ciemnością nieśmiało walczyło światło księżyca wpadające przez niewielki lufcik, wystarczająco szeroki najwyżej dla wychudłego szczura.

– Gdzie jestem? Dokąd mnie zabrałeś? – pisnęła.

– Donikąd – westchnął odrobinę zniecierpliwiony.

– A gdzie to jest dokładnie?

– Powiedziałem, że nigdzie cię nie zabierałem!

– Proszę nie podnosić na mnie głosu.

Piaskun zgarbił się. Już nie siedział tak prosto. Wyglądał, jakby skurczył się o głowę. Jakby nadzieja na ucieczkę zaczynała wyglądać na przykrą pomyłkę.

– Przepraszam – rzucił szybko. – Nadal leżysz w łóżku, więc nigdzie cię nie zabierałem. Jednocześnie jesteś tutaj, lecz w każdej chwili możesz wrócić do siebie. W tym sensie nigdzie nie zostałeś przez nikogo zabrana.

Nie odpowiedziała.

– Rozumiesz?

– Tak. Zastanawiam się tylko, czy mam być na ciebie zła.

– Zła? Na mnie?

– Nie uprzedzałeś, że znajdę się w jakiejś paskudnej piwnicy. – Dąsała się.

– W takim razie przepraszam i za to – powiedział całkiem już zrezygnowany. – Musiałem cię sprowadzić do miejsca, gdzie mnie trzymają. Jak inaczej miałabyś mnie uwolnić?

Pomyślała moment, po czym przyznała mu rację.

– No dobrze. Co mam więc zrobić?

– Uwolnij mnie. To wszystko.

Przykucnęła, rozsypując węzeł przy stopach mężczyzny. Słabo widziała przy księżycowym świetle, jednak po chwili starań udało jej się poluzować więzy na tyle, że wreszcie opadły na ziemię. Piaskun westchnął z ulgą, zaraz jednak zadarł głowę i zaczął pociągać nosem.

– Lepiej się pośpiesz. Nadchodzą.

Eli nadstawiła uszu, ale niczego nie dosłyszała. Stanęła za plecami mężczyzny i zaczęła uwalniać jego dłonie.

Drzwi otworzyły się z hukiem. Do środka wpadł pan Edzio, olbrzym niewiele mający wspólnego z człowiekiem, za to wiele z gorylem. Za nim nożownik w niebieskiej marynarce. Odgłosy rozmowy i stukot obcasów dochodzące z korytarza mówiły, że staruchy-wieźmy nie pozostają daleko w tyle.

– Gdzie-gdzie jest? – wydukał Pan Marynarka, sięgając za pasek.

Właściwie trudno powiedzieć, czy chodziło mu o więźnia, po którym zostały tylko konopne sznury leżące pod krzesłem, czy może o motylka, którego nie znalazł w kaburze.

Olbrzym nie odpowiedział, jęknął coś niewyraźnie, wskazując na najciemniejszy kąt pomieszczenia. Piaskun nie próbował się ukryć – stanął pewnie na rozstawionych nogach, bawiąc się nożem równie wprawnie, co wcześniej właściciel broni.

– Bierz go!

Pan Edzio ruszył biegiem. Każdy jego krok był jak trzęsienie ziemi, tynk spadał z sufitu – zaplątał się jednak w jeden ze sznurów i padł na podłogę przy akompaniamencie grzmotu zdolnego poruszyć dom w posadach.

– Wieźmy! – zaskrzeczał mężczyzna w marynarce.

Niepotrzebnie, bo staruchy pojawiły się już w drzwiach.

– To ty! – zakrzyknęła wredna baba z warzywniaka.

Eliza cofała się, aż poczuła dłoń Piaskuna na ramieniu. Poczowała, jak uspokajająca, niemalże namacalna energia rozlewa się ciepłem po całym ciele i napełnia piersi kojącym uczuciem.

– One mnie widzą – powiedziała, wtulając się w niego, jakby chciała otrzymać jeszcze więcej spokoju.

– Oczywiście. Wiedźmy widzą sny równie wyraźnie jak to, co na jawie. – Przyciągnął ją mocno i odwrócił plecami do czwórki handlarzy.

– Zamknij oczy.

Zrobiła, co rozkazał.

Nie widziała, jak Piaskun skierował ostrze noża na czwórkę handlarzy.

Najpierw na pana Edzia, który z trudem dźwigał ociążałe cielsko. Piaskun ciął powietrze przed sobą i chociaż tak naprawdę nie dotknął olbrzyma, to ten padł na ziemię w dwóch, tryskających juchą połówkach. Kolorowe flaki pulsowały, pompując krew i płyny ustrojowe. Ze snami nie ma żartów.

Pan Marynarka próbował zasłonić się rękoma, ale to nic nie pomogło. Piaskun pchnął dwukrotnie. Dwie rany wykwitły na czole handlarza jak para dodatkowych czerwonych oczu. Nożownik ze świstem wypuścił powietrze z płuc, pojmując, że właśnie został zabity. Powoli osunął się na podłogę i nie przeszkadzał już więcej.

Wiedźmy zawróciły, próbując uciec, ale drzwi celi zamknęły się pchnięte niewidzialną dłonią. Podskoczyły przerażone.

– Przepraszamy.

– Bardzo nam przykro.

– Byłyśmy bardzo niedobre.

– Już nie będziemy – mówiły.

IV.

Eliza obudziła się we własnym łóżku. Jeszcze cieplejszym i bardziej miękkim niż zapamiętała. Była niedziela. Gdzieś w dole zapał kogut – niejeden mieszkaniec pewnie przeklął nadgorliwego ptaka i naciągnął mocniej poduszkę na głowę.

Przewróciła się na drugi bok. Sen powoli odchodził, ale widziała jeszcze stojącego przy nocnej szafce Piaskuna. Spoglądał na dziewczynę z życzliwym uśmiechem.

– Mogłeś uciec cały czas? – zapytała sennie, z trudem klejąc słowa.

Pokręcił głową.

– Byłem związany.

– Dlaczego wtedy cię złapali? Pozwoliłeś im?

– Był dzień. W czasie dnia ani sny, ani koszmary nie mają takiej siły jak nocą, kiedy cały świat śpi.

Ucałował ją w czoło i Eli obudziła się naprawdę.

Na nocnym stoliku leżała koperta. Otworzyła ją i wyciągnęła list, wysypując przy okazji na kołdrę rudą pigułkę.

„Jeżeli będziesz miała ochotę, zapraszam. Wybierzemy się w jakieś miłsze miejsce. Śpioch.”

Dziewczyna zapakowała list i nowy kamyk z powrotem do koperty, a potem wsunęła je do szuflady.

– Może później – szepnęła, moszcząc się w pościeli.

Pani Jolanta miała rację mówiąc, że nie można pokochać snu, bo nie będzie się już chciało z niego obudzić. Eli wiedziała jednak jeszcze jedno – należy śnić, póki to jeszcze możliwe.